

W 6514

STRONNICTWO PRAWICY NARODOWEJ.

ST. TARNOWSKI

**ANDRZEJ POTOCKI**

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

ODBITO W Drukarni «CZASU» W KRAKOWIE

1908

STRONNICTWO PRAWICY NARODOWEJ.

ST. TARNOWSKI

(1837-1917)

**ANDRZEJ POTOCKI**

(1861-1908)

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

---

ODBITO W DRUKARNI «CZASU» W KRAKOWIE

1908



D-[p]4/92

W. Hd



6514p



Do 3891

Odbitka z «Przeglądu Polskiego»

NAKŁADEM STRONNICTWA PRAWICY NARODOWEJ

Zginął zamordowany. Za co? Za to tylko, że był Polakiem i że służył. Widzi Bóg, ludzie świadczą, że służył dobrze. Wszystkie kłamstwa wszystkich połączonych nienawiści, wszystkie fałszywe świadectwa i wykrętne usprawiedliwienia czy tłumaczenia zbrodni, nie przemogą prawdy, nie poradzą na to, że ta krew była przelana niewinnie. Nie krzywdził, nie uciskał, nie dał powodu ani pozoru nawet do nienawiści i zemsty, a fałsz, który to mówi, sam wie, że kłamie.

Ta niewinna ofiara, ta krew Andrzeja Potociego, to przyłożona pieczęć, korona długoletnich zasług jego starszych. Jego dziad służył wojskowo, jego ojciec i brat starszy służyli całym życiem — ale żaden nie położył życia w służbie. Jest zaś w ofierze niewinnej, w przelanej krwi, moc wielka. Ludzie, ile uczciwi, oświadczają się przy niej a przeciw zbrodni; Bóg ją widzi i kładzie na szalę zasług po jednej stronie, win po drugiej: z wyrokiem może się wstrzymać, ale sądzić musi. Sam rzekł, że przelana krew woła do Niego o pomstę: my nie wzywamy pomsty na złych, ale bła-

gamy o zmiłowanie nad dobrymi, i ufamy, że do tego zmiłowania ta krew pomoże, przyczyni się, daremnie przelana nie będzie. Dla tego mówimy i wierzymy, że Andrzej Potocki ofiarą życia dopełnił i przewyższył tę miarę zasług, jaką położyli w ojczyźnie i dla niej jego starsi. Ta wiara jest nam jedyną pociechą w wielkim narodowym nieszczęściu, jakim jest jego śmierć, jakimś uśmierzeniem i umiarkowaniem w goryczy i oburzeniu, obroną przeciw pokusie nienawiści, do której natura ludzka ciągnie, ale którą przemódz, której do serc niedopuszczyć mamy powinność.

Rusin go zabił. Nikt z nas nie pomyślał o tem, by całą Ruś winić o tę zbrodnię. Wiemy, że nie wszyscy tak czują i robią, ale niektórzy, część. Metropolita Szeptycki z kazalnicy napiętnował zbrodnię; oprócz tego słowa najpotrzebniejszego, i Rusinom i nam Polakom, słyhać stamtąd głosy uczciwe, dobre: chowajmy je w pamięci i w sercu z myślą, że gdzie się odzywa sumienie i ludzkie uczucie, tam i sposób porozumienia, pojednania, znaleźć się może. Liczniejsze, silniejsze, są głosy nienawiści. Znamy ją, wiemy, że są Rusini których patriotyzmem jest nienawiść, ideałem humanistyczna; czytamy i słyszymy te wrzaski dzikiej radości nad ciałem zabitego, okrzyki na cześć zabójcy, te groźby nowych mordów, ten chór kłamstw i potwarzy, powtarzanych głośno i bezczelnie przez wiele dzienników pruskich, ciszej, nie tak śmiało, ale nie mniej podle przez niektóre wiedeńskie. Wiemy, że jest nienawiść specyficznie

ruska, znamy jej rozmiary, jej głębię i jej ślepą wściekłość. Ale w tem co się stało, co się wkoło nas dzieje, nie ona jedna jest przyczyną i poruszającą sprężyną. Na ten grunt padły ziarna, przyniesione wichrami z wschodu i zachodu, rosyjskie przykłady mordów, rewolucyjna nauka, że dla i d e i wszystko wolno, „brud nie brudem i zbrodnia nie zbrodnią“. Niegodziwości rządów zrodziły niegodziwości rewolucyi; a skutek i dalsze potomstwo, to epidemia mordu, to fanatyzm i apoteoza zbrodni jako niby bohaterstwa i misyi, to okrucieństwo, plugawe i głupie, zaraźliwie szerzące się po Europie od Lizbony do Petersburga. Człowiek dziczęje i staje się zwierzem, kiedy przestaje się mieć za stworzenie i dziecko Boga, a boskie prawo i swoje sumienie bierze za ujmę i krzywdę swojej wolności; tego zaś uczą, tego chcą te filozoficzne i polityczne teorie. Zetrzeć znak krzyża z ludzkich społeczeństw, zaprzeczyć i wyrzucić Boga, to jest cel; a środkiem jest wydarcie sumień, rozkiełznanie wszystkich żądz i wszystkich nienawiści w człowieku. Cel osiągnął się już w znacznej mierze; szatańskie tchnienie dmie potężnie i stwarza nad naszym światem atmosferę bezbożności, zwierzęcej wściekłości, i mordu. Ta zaraza rozeszła się i wśród Rusinów — i z nich wielu oddycha tą atmosferą i psuje się strasznie. Zaraza nie oszczędza nikogo, chce ogarnąć wszystkich; nieszczęsny, kto jej się nie strzeże i nie broni. Mamy takich niestety i między sobą, co myślą, że dla i d e i wszystko wolno, że idea

z góry rozgrzesza zbrodnię. To nie zmniejsza ani winy ruskiej, ani naszego oburzenia, ale to powinno nam samym — tym co tego potrzebują — otworzyć oczy na fałsz tej nauki i na jej skutki.

Po r. 1846 rozległy się nad nami i rozeszły po całej Polsce słowa tego *Chóratu*, który powtarzamy jako prawdziwy wyraz narodowego lamentu: „Okropne dzieje przyniósł nam czas“. Nowy czas przynosi okropności nie mniej, i nie mniejsze. W Warszawie, w Łodzi, po miastach, po wsiach Królestwa, na liczbę więcej pomordowanych, niż u nas w trzech dniach galicyjskiej rzezi: a rozpojone, przez nieprzyjaciela namówione i prowadzone ciemne gromady były mniej zepsute niż ci, co dziś z zimną krwią chodzą i mordują kogo zechcą. Tamtym wtedy mówiono, że cesarz zawiesił przykazania boskie; ci zawiesili je sobie sami, a mężobójstwo głoszą za swoje prawo, swoją zasługę i chwałę, swoją misję.

Do tych „okropnych dziejów“ śmierć Andrzeja Potockiego dodaje kartę strasznej zgrozy i boleści. Nie jest, dzięki Bogu, polską zbrodnią, ale jest polską stratą, polską klęską. Przypadła na Wielki Tydzień Męki Pańskiej: a możemy śmiało złożyć ją u stóp krzyża, bo ofiary i boleści większej dziś nie mogliśmy ponieść. Boleść i ofiara nie rodzinna tylko, ale narodowa. Zabójca chciał nam źle zrobić, i dokazał swego, celu dopiął; dobrze sobie wybrał ofiarę, kiedy swój strzał wymierzył w głowę nam tak drogą i tak potrzebną.

Jakim był Andrzej Potocki?

Miał lat jedenaście, kiedy go ojciec odumarał. Przed śmiercią mówił chłopcu, że ma być pożytecznym. Chłopcu utkwiała w sercu głęboko i ta śmierć, i ta nauka, a na tem uczuciu budowała matka jego przyszłe życie. Na nią spadło całe zadanie formowania jego duszy i charakteru. Był brat od niego starszy, wielkiego serca młodzieniec a później człowiek, ale wtedy jeszcze tak młody, że choć był i opiekunem i przyjacielem, to nie mógł być wychowawcą młodszego. Zadanie podjęła, odpowiedzialność wzięła, matka. Miała sama wielką duszę, wielką siłę woli, miała wielką niezmierną miłość straconego męża i miłość niezmierną syna. Te miłości chciała połączyć: chciała syna zrobić ojcu podobnym, ojca godnym, takim jak ojciec, i całe swoje serce, całą swoją wolę skupiła i wyteżyła w tem zadaniu, w tym celu, żeby z syna zrobić człowieka. Można powiedzieć, że go dwa razy zrodziła: raz, kiedy na świat wydała, a drugi, kiedy urobiła, ukształciła jego duszę. Sama nosiła w sercu, a przed nim trzymała, ojca jako ideał; do tego kazała się dociągać, przymierzać. Czy żądała od niego, albo dla niego marzyła, gieniuszu, wielkości, świetności? Nie. Miała dla niego dumę i ambycję wielką, ale inną: chciała go mieć charakterem i obywatelem, Polakiem i katolikiem. Stawiała mu przed oczy i w nim wyrabiała uczucie obowiązku; żądała jego pełnienia. Ona go miłowała nie tylko całym sercem, ale w skrytości serca z pewnym uczuciem dumy i podziwu, bez swojej wiedzy miała do

niego słabość: rozjaśniała jej się twarz, kiedy on wchodził do pokoju. A mimo to była względem niego wymagająca, prawie surowa. Miłość nieograniczoną i rzewną musiał syn czuć w każdym jej słowie i tchnieniu; ale folgować mu, pobłażać mu, zwolnić go z tego co był powinien, tego nie robiła, nie chciała, może nie byłaby potrafiła robić. Tem wychowaniem wszczepiła w syna ten hart jaki sama miała, przelała w niego wiele ze swojej własnej duszy. Tworzył się tak między matką a synem związek rzadkiej piękności, we wspólności uczuć, w doskonałym zrozumieniu, w miłowaniu tego prawa obowiązku, któremu się oboje poddawali bez wahań i zastrzeżeń, zupełnie. Matka kochała w synu i rzeczywistość dobrego, jakie w nim było, i nadzieję tego dobrego, jakie przez niego przyjść mogło dla kraju i domu; syn kochał w matce źródło wszystkiego dobrego, jakie w sobie miał lub mieć mógł, a wielił wzór i zbiór wszelkiej cnoty, wszelkiej miłości: Boga, ojczyzny, rodziny, bliźniego. Żyć nie dla siebie, zawsze naprzód i przed wszystkim to co się powinno, co trzeba, co się może ojczyźnie i ludziom przydać — potem dopiero to, co własnemu sercu miłe, a choćby bardzo potrzebne. Tę regułę nadali sobie i zachowywali oboje, matka i syn, we wszystkim, nawet w swojej wzajemnej miłości. Matka była już w ostatniej chorobie, syn dojeżdżał do niej do Krzeszowic, a we Lwowie był Sejm. Nie pozwalała mu zostać przy sobie dłużej nad kilka godzin: „Wracaj, tyś powinien tam być“.

I odjeżdżał, i w samym końcu ledwo zdążył na ostatnie chwile jej życia. Po jej pogrzebie, kiedy go proszono żeby choć przez jedną noc został i próbował wypocząć, odpowiadał: „Ona kazałaby mi wracać — ona woli, żebym wracał“.

Był chłopiec bujnej natury, śmiały, zamiłowany w trudnych ćwiczeniach (do nieostrożności czasem), wesoły, pełen życia — ale ścisły bardzo w tem, co było jego obowiązkiem. W naukach, nie folgowano mu wcale; musiał pracować, przykładac się. Celujący student w gimnazyum, zręczny i śmiały strażak z pewnem upodobaniem w niebezpieczeństwie, kiedy z chłopca wyrastał na młodzieńca, matka nie krępowała jego swobody, ale doglądała zawsze zbliżka jego nauk, i jego. Parę półroczy w Gratzu i w Pradze, tam także służba wojskowa, ona tam spędzała po kilka miesięcy. Czasu nie tracił, bruków nie zbijał, a celujący uczeń od pierwszych do ostatnich lat, zakończył swoje nauki promocją doktorską *sub auspiciis Imperatoris*. Uroczystość była piękna, i miły był widok tego młodzieńca, który umiał dobrze skończyć to co zaczął, i zanim jeszcze wstąpił w życie pokazał, że na niego liczyć można; ale najpiękniejsze w tym obchodzie było uczucie, z jakim syn matce całą swoją wartość przyznawał i u jej nóg składał z wdzięcznością wszystko czem był, czem się stał, czem się w przyszłości stać mógł.

Parę lat w służbie dyplomatycznej. Nie dla karyery, nie na stałe. Jej cel i jej pożytek był

ten, że dawała sposobność poznania świata z różnych punktów widzenia, rozszerzała zakres widzenia. Dotąd znał tylko horyzont krakowski, co najwięcej polski; kto na ten chce patrzeć szerzej a w niego patrzeć głębiej, ten potrzebuje przypatrzyć się i innym. Służba dyplomatyczna była dobrem przygotowaniem do służby krajowej.

Zanim w nią wstąpił, przebył rok ciężki bólu i udręczenia. Choroba brata była długą męką chorego, męką biednej matki; obojgu służyć, ulgę przynosić w fizycznych cierpieniach jednego a moralnych obojga, być tym balsamem, który nie leczy, nie uzdrawia, ale jednak koi choć trochę, być nieodstępny, niezmordowanym, zawsze gotowym w dzień czy w nocy aż do wyczerpania własnych sił, zawsze spokojnym, pogodnym, miękkim i czułym w tej służbie, to Andrzej umiał z poświęceniem, z dobrocią, u mężczyzn nawet najlepszych rzadką w tym stopniu. Pod koniec tej choroby znalazł pomoc, podpórę, pokrzepienie, pociechę, w świeżo poślubionej żonie, która wtedy zaczęła być, jak sam powiedział „jasnością i szczęściem“ jego życia. A gdy brata zabrakło, gdy po nim zostały dwie córki, po matce już dawniej sieroty, on jakżeby po bracie był odziedziczył serce ojcowskie dla tych dzieci, tak je kochał, taki był dla nich dobry, że dopiero kiedy jego straciły, uczuły, że nie są już niczyjemi dziećmi.

W życie publiczne wszedł, jak brat, jak dawniej ojciec, jako poseł włościański ze swego powiatu. Do tej służby przynosił zdolności i za-

lety, nie mniejsze jak oni, ale inne. Jego ojciec działał na wyobraźnię, porywał słowem, temperamentem, całą swoją indywidualnością; w rzeczywistości życia miał jakiś charakter i orok poetyczny. Brat miał popęd, śmiałość, inicjatywę, i miał szczęście do ludzi, ujmujący wdzięk, złożony z szlachetności, ochoty do życia za młodu i za szczęścia, wielkiego ale i bardzo dobrego serca zawsze. I on i ojciec ukazywali odrazu, jakimi są; nie znając ich, wiedziało się przecież zaraz o jednym jak o drugim, co to za rodzaj człowieka. Andrzej był bardziej zwrócony na wewnątrz; nie skryty, ale zamknięty w sobie, trzymający na wodzy swoje wrażenia, ostrożny w słowie. Umysł rozległy, ale zwłaszcza jasny, trzeźwy, dążył szybko i pewnie do samej istoty rzeczy, chwycił ją, rozumiał, ujmował i zaraz szukał praktycznej drogi, środków. Nie tak popędowy jak brat, nie tak widocznie uczuciowy, przez to nie taki miły i ujmujący, miał nad nim wyższość ciągłości, regularności, systematyczności w pracy — i wyższość zupełniejszej i gruntowniejszej nauki. Temperament równiejszy, niż u brata i ojca: więcej panowania nad sobą, nigdy, nawet w młodości, gwałtowniejszego wybuchu oburzenia lub żalu. Nie widziało się w nim ani namiętności, ani nerwów, tak, że ludziom wydawał się czasem nadto spokojnym, zimnym. Oburzenie, gniew, żal, walka z sobą samym, trudna decyzja, to wszystko było owładnięte, skupione, odbywało się w nim, ale się nie objawiało na zewnątrz. Objawiało się cho-

robą serca i jej atakami, nieraz niebezpiecznymi, ale nigdy nerwowymi wybuchami. Miał z matki wielką siłę woli i sztukę panowania nad sobą, miał, znowu może z niej, rozważność i ostrożność w umyśle i w słowie. Każdego zdania wysłuchał, ze swoim nie łatwo się odzywał, a zawsze krótko, spokojnie, dyskretnie. Ani ojciec, ani brat, nie byli u władzy, nie mieli sposobności pokazać, jakby byli umieli rządzić. Może nie gorzej od Andrzeja, ale z pewnością nie lepiej od niego. Na tem stanowisku rozwinął zdolność polityczną, roztropność, takt, miarę, powagę, taką, że człowiekiem politycznym, człowiekiem do rządzenia okazał się w całym znaczeniu słowa i w rzadkiem połączeniu przymiotów.

Jako młody poseł robił sobie powagę i wpływ w Sejmie, przez bystrość, przez gruntowną znajomość kwestyj; świetnych, efektownych występów i popisów nie szukał. Kiedy mówił, trzymał się zawsze ściśle rzeczy, przedstawiał i dowodził, nie unosił się i nie olśniewał. Ale kiedy sprawa była ważna, położenie Sejmu i kraju trudne, kiedy uchwała Izby mogła na nie wpłynąć dobrze albo szkodliwie, to w jego słowach drgało uczucie, choć nie wybuchało, rozum narzucał się słuchaczom z wielką siłą, mowca był mądry i wspinały. Marszałkiem zostawał chętnie. Czuł się na siłach, wiedział, że powagę już sobie zdobył, a słusznie liczył na siebie, że podoła i trudom i trudnościom. Była w tem i ofiara; stara matka na ostatnie lata miała zostać bez niego, kiedy on

był całą radością, słońcem jej życia; ale tę ofiarę ponieśli oboje bez wahania, bo ją mieli za potrzebną, za pożyteczną. Namiestnictwo obejmował także z nadzieją, że mu podoła, ale bez ochoty, na usilne nalegania, czysto tylko z uczucia obowiązku, z poświęcenia. Miał objąć władzę w kraju; kiedy w państwie nikt na prawdę władzy nie wykonywał, kiedy ciało prawodawcze tknięte paraliżem obstrukcyi, a rządy sztukami, wybiegami, okupują z dnia na dzień sztuczny pokój. Miał objąć władzę w kraju, także wyrzuconym z równowagi. W nieładzie państwa wzmagala się naturalnie śmiałość i namiętność wszystkich stronnicych rywalizacyi i licytacyi, polskich, ruskich, żydowskich, socjalistycznych. Zamęt, w którym nietylko stanowisko rządu stawało się trudniejszym niż było, ale całe położenie i znaczenie kraju mogło się zachwiać, zboczyć z dobrej drogi, psuć się.

Z tego stanu rzeczy Andrzej Potocki zdawał sobie sprawę jasno; więc kiedy żądano od niego w Wiedniu, żeby wziął władzę i odpowiedzialność, musiał żądać, on znowu, żeby ta władza była rzeczywistą. Postawił warunki. Nie znamy ich, nie możemy wyliczyć; ale wiemy, że były, i że dawały mu (w podległości oczywiście centralnemu rządowi) więcej niezależności, niż jej zwykle miewają namiestnikowie. Był to rodzaj umowy: gdyby druga strona nie dotrzymywała jej warunków, on w tej samej chwili byłby złożył swój urząd. To dawało mu wobec Ministerjum



siłę w żądaniu, i siłę w odmowie. Wiedziano, że nie będzie groził dymisyą bez ważnego powodu, dla formy — ale że jak ją raz poda, to stanowczo, a jego dymisya wpłynie na stosunek kraju i stosunek Koła polskiego do rządu. Rząd musiał się z nim liczyć, a zarazem musiał uznawać i jego głowę i jego charakter; wartość człowieka, osobista powaga, znaczyła w jego stanowisku więcej jeszcze, jak potrzeba jego usług i jak wszystkie warunki. Rozum, takt, dobra wiara, szczerłość i prawość w służbie, śmiałość i otwartość wypowiedzenia swego zdania i sądu, a miara w żądaniach, wzgląd na potrzeby i zawite stosunki państwa, wyrobiły mu tę powagę i ufność, jaką miał w Wiedniu, jaką miał zwłaszcza u samego Cesarza. W kraju ta powaga i ufność rosła z każdym rokiem, z każdym zdarzeniem, z każdą zmianą w stosunkach. Nie piszemy jego żywota, tem mniej historii kraju, nie możemy ani wspominać nawet, co on robił i jak. Tu wystarczy powiedzieć, że w rządzie, jako namiestnik, okazał się człowiekiem do działania i do rządzenia. W zamęcie naszych stosunków i stronnictw miał te główne zadania: utrzymać kraj na jego prostej i wypróbowanej drodze politycznej; równowagi społecznej nie dać wstrząsać gorzej, ale ją owszem przywracać, ile się da wyrabiać i ustalać; zamożność kraju podnieść a skarb jego zabezpieczyć; ciągły nieunikniony wzrost wydatków, bez równego wzrostu dochodów, jest wprost groźny; porządku publicznego nie dać naruszyć; narodową waśń,

rozognioną ruską namiętność, uśmierzać; pokój czynić wszędzie, bo rozterka i wzburzenie jest wszędzie. Włościanin uczony widzieć wroga w szlachcie, demokracja pojmowana jako walka nie z przywilejem, ale z konserwatyzmem, szczerą zgoda z Austryą wystawiona jako ujma czci a szkoda sprawy polskiej; ruska narodowa świadomość i dążność, objawiająca się groźbami i bezrobociami na wsi, burdami po miastach, napadem na uniwersytet we Lwowie; socjalistyczna i syonistyczna propaganda; wszystko jeszcze rozognione, podniesione do potęgi sprawą reformy wyborczej, w państwie i w kraju. Walka nie już ze społeczeństwem, ale z sumieniem, z wiarą, z Kościołem, z Bogiem, walka otwarta i bezecna w pismach i słowach, a prawo przeciw niej bezsilne czy nie używane... I czynić tu pokój! Jak!

Ze spokojem i zimną krwią, z okiem czujnie otwartem na wszystko, z pracowitością żelazną w urzędowych czynnościach, i nadewszystko z tem uczuciem, że jest na posterunku, że jest na to izby było lepiej jak jest, ogarniał wszystko, stawał czoło wszystkim trudnościami. Nie bez skutku. Po kim żal kraju był tak powszechny, tak rzewny? Wchodzi weń także zgroza tej śmierci, ale to nie jest tylko żal za ofiarą zbrodni, to jest żal za namiestnikiem, za głową kraju, doskonałą, dzielną, mądrą. On ciągle rósł w naszych oczach i ciągnął je do siebie jako ten, w którym był punkt oparcia, środek ciężkości krajowych spraw, ten, na którym Polak mógł polegać, z pewnością że

ten może się złamać, ale się nie ugnie, nie zachwieje.

Spółeczna zgoda, na początek choćby społeczne uspokojenie, zbliżenie włościan i szlachty, przez to i spokój w umysłach, w kraju, i podniesienie znaczenia Koła polskiego w Wiedniu, to ostatnia jego praca — i ta mu się udała w wyborach do Sejmu. Porozumienia z Rusinami szukał, chciał, rozpoczął kroki po temu — i wtedy...

On się nie złamał, ale jego złamali.

Jego zdolność, charakter, patriotyzm, znało się z całego jego życia; ale jego cnotę poznaliśmy w całym jej blasku dopiero przez jego śmierć. Padł jak bohater, jak żołnierz w boju, ofiarą życia przypieczętował treść i zasługę tego życia; a jak rycerz chrześcjanin umierał z Bogiem w sercu i na ustach, w świętem wyznaniu Jego wiary, w świętem poddaniu się Jego woli. Odwaga wobec nagłej i niespodziewanej śmierci heroiczna, wiara i ufność w Bogu męczenników godna, mężność, wola, pamięć o sprawach świeckich zdumiewająca siłą i jasnością; czułość, myśl o drugich, ostatnie pożegnanie i błogosławieństwo dla żony i dzieci, wzniosłe miłością ich, i miłością Boga, któremu poddać się, któremu służyć kazał. W tych trzech kwadransach konania pokazała się w całości i w całej jasności wielkość jego duszy — a w ostatnich słowach streściło się całe życie, wypowiedziały się wszystkie uczucia. „Katolik jestem, śmierci się nie boję“ — tak może mówić taki, kto przez całe życie wie, że przed sądem

Boga stanąć musi, i tak życie, żeby każdej chwili śmiało mógł stanąć. „Zawołać księdza“ — wzywa go każdy umierający wierny; ale kiedy ksiądz chciał dać rozgrzeszenie i ostatnie namaszczenie, ten konający nie chciał na tem poprzestać. „Ja jeszcze mogę się spowiadać“ — i odbył spowiedź. „Powiedz mojej żonie, tylko ostrożnie. Powiedz jej niech się pomodli, a potem niech tu przyjdzie. Niech przyjdzie dopiero jak się zupełnie podda woli Bożej. — Czekaj, umyj ręce ze krwi, żeby się odrazu nie przerażała“. Pierwsze, to przykazanie, żądanie zupełnej doskonałej cnoty, i wskazanie, gdzie tej cnoty, tej odwagi szukać, na tę chwilę, i na całe życie. Drugie, to miłość, czułość, względność, troskliwość o nią w tem nieszczęściu. Rozporządzenia majątkowe, ustne, ale przy trzech świadkach podług prawnych form i przepisów, to baczny przezorny ojciec rodziny, i człowiek praktyczny, znający prawo. „Dajcie znać Cesarzowi, że umieram jako jego wierny sługa“, to stwierdzenie tej polityki, której się naród polski w Austrii trzyma, zgodność tej wierności z uczuciem i z dobrem Polski. „Tyś była jasnością, słońcem, szczęściem mego życia“, to pożegnanie, w którym jest dla żony pociecha na całe dalsze życie bez niego. Takie były jego ostatnie słowa. My możemy śmiało dodać do nich jeszcze te, których on nie powiedział: „Panie, w ręce Twoje oddaję ducha mego“, bo to duch dobry, prawy, wielki, wracał do źródła, z którego wyszedł.



Gdyby go był zabił prosty rozbójnik, to choć zbrodnia jego a nieszczęście osieroconych nie byłoby mniejsze, boleść byłaby przecież mniejsza. Po r. 1846 mogliśmy mówić: „O rękę karaj, nie ślepy miecz“. Teraz tej pociechy nie mamy, bo ręka i miecz są te same, bo zbrodnia nie ma wymówki ciemnej, głupiej, ślepej nieświadomości czynu. Zamiar był świadomy, z namysłem powzięty, zdawna przygotowany, wykonany chytrze, zdradliwie: to zaprawia nieszczęście i boleść gorczy, w której osłoda jest tylko jedna, ta, że to nie Polak.

Zamiar się powiódł. Narobić nam nieszczęścia, to był cel, i udało się, nieszczęście jest. Że wielkie, że ogólne, narodowe, świadczy usposobienie i postawa całego kraju, świadczy ten pogrzeb, posuwający się przez ulice Lwowa wśród tłumów boleśnie skupionych, w milczeniu przerywanem gdzie niegdzie łkaniem i modlitwami. Wzdłuż drogi, od Lwowa do Krzeszowic, na każdej stacyi gromady ludzi, wszystkich stanów, z księżmi i krzyżami na czele. W Krzeszowicach bez przesady zjazd z całego kraju, z całej Polski. W imieniu Cesarza hr. Chołoniewski jako zastępca. Arcyksiążę Karol Stefan sam za siebie, z pędem własnego serca. Ministrowie, biskupi wszystkich obwódów, deputacye wszystkich powiatów, wszystkich instytucyj, wszystkich urzędów. Pół roku przedtem składało się w tych grobach matkę: Bóg łaskaw, że jej nie dał dożyć tego nieszczęścia,

straszniejszego od wszystkich jakie przeszła w życiu, a przeszła ich wiele.

Wyroki boskie niezbadane, a kiedyś na tym świecie zrozumiemy je i poznamy, że były zawsze opatrne i miłościwe; ale na tym świecie zrozumieć nie możemy, dlaczego Bóg odwołuje swoich sług najlepszych i najpotrzebniejszych. Śmierci, mordy, wpływają na historję świata: ten mord i ta śmierć musi wpłynąć na historję naszego kraju. Ona zmienia naszą sytuacyę polityczną. Co zrobi, jak będzie postępował rząd wie-deński, nie wiemy: ale nasz stan wewnętrzny musi się zmienić. Stosunek do Rusinów jest wielką sprawą i wielką trudnością naszego kraju, a śmierć Andrzeja Potockiego stanowi w nim zwrot nieunikniony. Po niej musi się zacząć, od niej musi się datować coś innego: co? W naszym usposobieniu, w naszym uczuciu, echo tego strzału musi odzywać się długo; na przebaczenie zdobyć się można, zapomnienie nie zależy od woli, nie jest w mocy ani człowieka, ani narodu. I oni także zmienić się muszą. Nie popełnia się zbrodni bez skutku, musi po niej przyjść albo ztwardziałość, fatalizm zbrodni, albo wyrzut sumienia, skrucha. Oby przyszło to, do czego wzywa, nawołuje, zaklina Metropolita w swoim kazaniu! Ale dotąd liczniejsze i głośniejsze są oznaki tamtego.

Spisek, czy jeden człowiek, cokolwiek śledztwo wykaże, zamach był skutkiem długiej nienawiści, szerzonej i rozpalanej systematycznie. Je-

żeli nawet nie był z planu, *ex consilio*, to się łączył z całym szeregiem czynów wyrachowanych i wspólnie wykonywanych. Podżeganie do rzezi Lachów po pismach, jątrzenie i burzenie chłopów, powtarzane i stopniowane burdy w Uniwersytecie, kłamliwe udawanie tego wszystkiego za skutek nieznośnego ucisku i rozgoryczenia l u d u, doprowadzonego do rozpaczki krzywdami swego narodu (!), mowy posłów ruskich w Radzie państwa, ich przestrogi czy pogrożki, że stanie się coś okropnego, to przyczyny, które za skutek miały strzał Syczyńskiego. Po zabójstwie gromadki ludzi, czekające na wiadomość, rozbiegające się z nią po mieście, okrzyki na cześć zabójcy, on głoszony za bohatera, telegramy radości i powinshawania od posłów ruskich z Wiednia — *vivat sequens* — ich nowe groźby, zapowiedzie nowych mordów, to wszystko dowody, że choćby zabójstwo było wyszło z głowy samego jednego Syczyńskiego, to było wyrazem uczuć i woli wielu. Cel był: nastraszyć. Nastraszyć nas, Polaków, i nastraszyć rząd w Wiedniu: metoda, przejęta od anarchistów rosyjskich, terror. Czy się uda? Czy wpłynie na rząd i uczyni go powolnym żądaniom tej partii i jej reprezentantów?

To wszystko sprawia, że ze śmiercią Andrzeja Potockiego może się zmienić nasza polityczna sytuacja, od niej datować się początek jakiegoś stanu nowego, a gorszego.

Czułości, roztropności, mocy nad sobą, potrzeba nam niezmiernie wiele. Dotąd trzymamy

się dobrze i godnie. Żal za zmarłym, wdzięczność dla niego zaświadczamy zgodnie i silnie; namiętności, nienawiści nie objawiamy. W pierwszej chwili tylko, we Lwowie, tłuczenie szyb przez niedorośłych chłopców; objaw niegodny wielkiego nieszczęścia i wielkiej zbrodni, ale też zaraz uśmierzony, nie powtórzony. To weźmy do serca i pamiętajmy, że wszystko, coby miało w sobie jakąkolwiek ich krzywdę, choćby najmniejszą, choćby tak małą jak wybite szyby, byłoby ujmą i obniżeniem naszej powagi i godności, a bronią przeciw nam w ich ręku. Być może, że oni zechcą wyzywać nas i zmusić niejako do jakiegoś przeciw nim wystąpienia: tej satysfakcyi dać im nie możemy. Musimy się trzymać na wodzy, musimy panować nad sobą, nad swojemi popędami żalu i oburzenia. Tak nam każe dobro naszej sprawy, rozum polityczny, powaga i wielkość naszego nieszczęścia, i cześć tego zmarłego, który z pewnością taką postawę doradzałby nam i przykazał. Mówimy to z głębi serca, z głębi przekonania, do wszystkich, ale przedewszystkiem do polskiej uczącej się młodzieży.

Walą się na nas klęski od wschodu i zachodu, a w tym nawale śmierć Andrzeja Potockiego jest wielką klęską. Pod rządem pruskim wyrok zagłady, pod rosyjskim powrót do dawnego stanu a nadzieja lepszego stracona. Tu była przystań, warunki życia, możliwość pracy dla kraju od lat czterdziestu, i tej pracy dobre skutki. Teraz to

się wikła, może się zachwiać i zepsuć. Boże daj, a my się starajmy, żeby się tak nie stało!

Jest tylko jedno dobre, które ta śmierć mogłaby nam przynieść, ta ofiara u Boga wyjednać i okupić: zrozumienie, czem są mordy tak zwane polityczne. Nie mogliśmy mieć za prawowite tych rządów, które nad nami panowały, w ucisku i prześladowaniu musieliśmy widzieć nieprzyjaciela w rządach i ich sługach, a rewolucyjne nauki i sprzyśiężenia uczyły nas, że dla sprawy, dla idei, wszystko wolno, i zbrodnia nie jest zbrodnią kied ojczyźnie służy. Nieprawda. Wszystkie, ile ich było, nie pomagały ojczyźnie, ale jej szkodziły; ale z nas jedni uwierzyli w tę mniemaną bezgrzeszność czy zasługę zabójstwa, a inni patrzali z pobłażaniem, bo zły czyn wymawiali dobrą intencją. Cicho, milczkiem, bez potępienia, bez wyparcia się, przepuściliśmy zamachy na margrabie Wielopolskiego; na wyroki śmierci i egzekucje w r. 1863 wzdrygaliśmy się, aleśmy ich otwarcie i śmiało nie skarcili, nie odepchnęli od siebie i swojej sprawy. A kiedy z czasem postąpiliśmy tak w tem zepsuciu, że dziś nie dla ojczyzny już, ale dla jakiejś partji, nawet dla prostego rabunku pod pozorem partji, każdy kto chce na kogo chce rzuca bomby i wymierza rewolwer, to postąpiliśmy także i w dziwnej lekkomyślności i lękliwości, i kiedy rząd rosyjski zażądał słusznie — co mu się rzadko zdarza — potępienia mordów politycznych przez Dumę, to posłowie polscy, pomimo codziennych mordów w ich kraju, za tem

potępieniem nie głosowali. Niedawno temu kobieta, która rzuciła bombę na generała Skalkona, która się do tego otwarcie przyznała, przez nasze polskie sądy była uznana za niewinną, była nawet owacyjnie witana przez wyznawców swojej politycznej wiary — i dziś pisma rosyjskie i ruskie mają prawo rzucać nam w oczy uniewinnienie pani Dobrodzickiej, a my nie możemy im odpowiedzieć, że kłamią. Jeżeli wszystko wolno dla i d e i, jeżeli wolno zabić, to wolno każdemu zarówno. Dla tamtej nieprzyjacielem był rosyjski generał, dla Siczyńskiego namiestnik Polak: oboje robili to samo, z tych samych pobudek, z tego samego pojęcia patriotyzmu i obowiązku. Doświadczaliśmy na sobie, na wielkim narodowym nieszczęściu, co są warte te nauki i jakie ich skutki. Oby to nieszczęście otworzyło nam oczy i naprostowało sumienia. Metropolita Szeptycki, kiedy wrócił do Lwowa po śmierci Potockiego, i pierwszy raz do Rusinów przemówił, powiedział te słowa: „Zbrodnia popełniona w imię patriotyzmu jest zbrodnią względem własnego społeczeństwa i ojczyzny, bo samo zestawienie mordów z wzniosłą pracą dla sprawy narodowej, sprawę plami i błotem kawa”. To było mówione do Rusinów, ale to jest prawdą dla wszystkich. I u nas są tacy, co „sądzą, że w ten sposób przysłużą się narodowej sprawie“, i u nas niejednemu z młodych „zbrodnia mogłaby się wydawać bohaterstwem“, i u nas „kto kocha ojczyznę“ powinien uznać i wyznać słowem i czynem, że „między

sprawą narodową a zbrodnią niema nic wspólnego“. Gdybyśmy chcieli te słowa wziąć do serca, gdybyśmy raz chcieli uwierzyć, że ojczyznę płami, znieważa, i w dół spycha a nie dźwiga w górę kto jej takimi środkami chce służyć, gdyby od śmierci Andrzeja Potockiego i przez nią poczęło rozszerzyło się to przekonanie w tych, co go nie mają, a w tych co je mają, gdyby się podniosła odwaga i siła potępienia zbrodni niby patriotycznych, to wtedy jego krew nie byłaby daremnie przelaną, byłaby ofiarą na oczyszczenie naszej miłości ojczyzny z win i brudów, które do niej przywrzały, na uzdrowienie narodu i na ubezpieczenie jego przyszłości. On, co całym życiem chciał być i był pożytecznym, byłby pożytecznym jeszcze przez samą śmierć swoją. I on tego pewno pragnie, on o to na tamtym świecie prosi. W r. 1848, podczas czerwcowych rewolucyj w Paryżu, arcybiskup Affre padł ugodzony kulą kiedy wyszedł upominać i błagać o zaprzestanie rzezi, o pokój. Jego ostatnie słowa były: *Puisse mon sang être le dernier versé*. Tak się nie stało; przyszedł rok 1871, przyszła Kommuna, i krew lała się obficie i gorzej. Słowa i ofiara nie przydały się. Oby u nas stało się inaczej! Oby ta krew była ostatnią przelaną między Polską a Rosją, ostatnią na polskiej ziemi przelaną w tym obłędzie, co rzecz świętą, miłość ojczyzny, łączy z rzeczą szatańską, ze zbrodnią.

W tym ciężkim żalu, powszechnym, polskim, jest jeszcze jeden osobny żal — krakowski. Ten

dom, co od blisko stu lat był skarbcem cnót, zasług, służby Bożej i służby ojczyzny, rozumu, cywilizacji, miłosierdzia, ogniskiem politycznego i towarzyskiego życia, co świecił i przewodził postaciami i przykładami mężów znakomitych i świątobliwych niewiast, co tak wszechstronnie i tak koniecznie łączył się z życiem tego miasta, ten znowu dotknięty nowem nieszczęściem, znowu jak dąb rażony piorunem, znowu w nim wdowa i sieroty — dziewięcioro, najstarsze niedorośle, najmłodsze maleńkie; i te biedne dzieci za pierwsze wrażenie, pierwsze wspomnienie w życiu mają, zamordowanie ojca! Dom nie upadnie i duch w nim nie upadnie, owszem da Bóg podniesie się wyżej, bo takie żywoty i takie ofiary nie przechodzą bez śladu i skutku. — ale choć się w przyszłość ufa, to terażniejszość zrozumieć i znieść trudno.

Pociecha jest jedna: wzniosłość tej śmierci i wzniosłość cnoty w tych, co pozostali. W ostatnich chwilach i słowach Andrzeja streściła się i zajaśniała jak nigdy wielka dusza człowieka, Polaka, chrześcianina. Przed wielką boleścią i wielką cnotą niewieścią, przystałoby tylko schylić głowę i milczeć: ale milczeć nie chcemy; bo w tej cnotcie jest taki przykład, taka nauka, że tego światła pod korcem chować nie można. Pani Potocka, w podziękowaniu za cześć oddaną zmarłemu, i za współczucie dla siebie, dzieci i rodziny, tak mówi:

„Myślą i dążeniem życia zmarłego była łączność w trudzie dźwigającym ojczyznę, i łączność

miłości chrześcijańskiej, która trud ten wspomaga i osładza. Pragnąc tego najgoręcej, dążył do zbliżenia w duchu prawdy, wspólnej dla kraju pracy i zasługi, dwóch zamieszkujących ten kraj narodowości. Oby Bóg w miłosierdziu swem dał nam wszystkim tę pociechę, by krew niewinnie przelana użyźniła grunt ojczysty ku zgodzie i lepszej przyszłości“.

Nad ciałem zabitego męża, na gruzach swego szczęścia, takie słowo rezygnacji, przebaczenia, i prośby o „pożytek“ z tej ofiary, to więcej jak słowo, to czyn, bo przykład, bo objawienie i wskazanie, jak mamy w tem nieszczęściu czuć, o co w niem starać się i modlić się, jak z niego czerpać siłę do życia, do służby, do przyszłości.

Temi słowy kończymy. Niech Bóg ich wysłucha i niech sprawi, żeby one także się przyczyniły do „użyźnienia gruntu pod zgodę i lepszą przyszłość“.



6514p

